

# PAPIERÓWKA



Janusz (Krawiec) Wiśniewski

## PAPIERÓWKA

To powinno wyglądać inaczej. W tę podróż, mieli wybrać się we trzech. Mimo, że los rozrzucił ich po różnych miastach w Polsce, to w te wakacje, tą autostopową przygodę mieli przeżyć razem. Tak się jednak nie stało. Koledzy z sobie znanych powodów zdryfowali.

Piotrek - mizerny, niewysoki młodzieniec o twarzy dziecka, które z zaciekawieniem i jakby też ze strachem, spogląda spod opadającej na oczy blond czupryny na otaczający świat, mimo ukończonych dziewiętnastu lat wygląda na chłopca, który ma jeszcze sporo czasu do matury. Teraz, zmierzając skrajem szosy, od czasu do czasu potrząsa tymi swoimi jasnymi, pokręconymi, niesfornymi włosami, odrzucając je z oczu – z oczu niebieskich jak bezchmurne niebo tego dnia. Idzie, kroczy objuczony wojskowym plecakiem, z przytroczonym zrolowanym kocem i dyndającą menażką. W plecaku umieścił wszystko to, co jego zdaniem mogło mu się przydać do przeżycia poza domem. Ugina się pod tym ciężarem, paski plecaka aż wżynają się w ramiona. Wygląda jak harcerzyk zmierzający na umówioną zbiórkę. Za sobą pozostawia rodzinny dom i gwar miasta. Oprócz bagażu na plecach, niesie też w sobie, brzemień podjętej decyzji. Nie czuje się bohaterem. Z natury jest bojaźliwy, delikatny, wstydlivy, zwykle niepewny siebie.

Właśnie, dlatego! Dlatego ruszę w Polskę! Autostopem objadę całą dookoła! Zobaczę, co potrafię, sprawdzę samego siebie. Będzie to mój życiowy egzamin! – Tak przekonywał, upewniał samego siebie, maszerując z udawaną dziarskością, mimo, że ciężar tego postanowienia w miarę oddalania się od domu, przytłaczał go coraz bardziej.

Może... jednak zawrócić? Dać sobie spokój? Na jak długo wystarczy mi ta skromna ilość pieniędzy? Gdzie będę spał? Czy ta wyprawa nie będzie zamierzeniem ponad moje siły? - Jeszcze jest czas... Nikt się o tym nie dowie, że zdryfowałem. Wyjadę do Gdyni... Zawrócić? Nie!

Załatwiwszy sobie książeczkę autostopowicza, Piotrek wystartował ze Słupska. Z miasta, w którym mieszkał z matką, aż do chwili wyjazdu na naukę do Gdyni. W Gdyni niespełna rok temu zaczął uczyć się fachu, w krawieckiej pracowni swojego stryja.

Czas, kiedy znalazł się w letni poranek na drodze prowadzącej ze Słupska do Koszalina, był początkiem autostopu w Polsce. Za przykładem prosto z Ameryki, w Europie, no i w końcu w Polsce pojawiły się pierwsze „Książeczki Autostopowicza”. Ruch autostopowy zaczynał być zorganizowany. Otrzymana za niewielką opłatą książeczka z wklejonym zdjęciem uprawniała do podróży zatrzymującymi się samochodami, a odcinane kupony zbierane przez kierowcę, dawały możliwość wygrania nagrody, która w rozumieniu organizatorów, miała zachęcać kierowców do zabierania autostopowiczów.

W ten sposób Piotrek, startując na krańcach Słupska, wskoczył za burtę starego Ziła załadowanego po brzegi surowcem wtórnym, którym były wszelkiego rodzaju butelki i pottłuczone szkło. Tak obolały, z rozdartymi portkami, dojechał do Koszalina. Kierowca jednak nie chciał kuponu z książeczki.

– Daj mi na piwo – uznał i Piotrek sięgnął po pierwsze złotówki do tylnej kieszeni drelichowych spodni.

W Koszalinie nie zabawiał długo. Miasto było nijakie, nieciekawe, jeszcze niepotrafiące podnieść się po wojennej zawierusze, a Piotrkowi cały czas kołatało serce – popędzał go strach i niepewność o to, co się będzie działo dalej w podróży. Parówka i dwie butki, jeszcze ze słupskich domowych zapasów, zjedzone podczas jazdy Zilem, sprawiły, że nie odczuwał głodu. Obierając kierunek na Szczecin, czekał teraz na skraju szosy na okazję u wylotu z miasta. Nie czekał długo. W dalszą trasę zabral go kierowca „autobusu po remoncie”, który to autobus, miał być dostarczony do Szczecina. Kierowcą był już niemłody, otyły, tysi mężczyzna, cały czas wesoło wygwizdujący, nucący lwowskie piosenki. Zatrzymywał się prawie w każdej wiosce, po drodze zabierając prowincjuszy, chętnych do przemieszczenia się. Na ostanie silnika, bliżej drzwi, w pudełku po landrynkach, brzęczały wrzucane przez podróżnych drobne monety. Między kierowcą a Piotrkim, siedzącym obok na służbowym siedzeniu, wytworzyła się komitywa. Już obaj sporo wiedzieli o sobie. Gdy dojeżdżali do przedmieść Szczecina, kierowca zagadnął:

- Masz gdzie zapisać? Zapisz sobie do mnie telefon. Na bazę. Pytaj o... Mówią na mnie Lwowiak. Wszyscy mnie znają. Gdybyś dłużej zatrzymał się w Szczecinie i jak byś potrzebował pomocy, nie miał co ze sobą począć - to śmiało dzwoń.

Piotrek wyciągnął z tylnej kieszeni spodni ceratowy portfel, wyjął z niego notesik i zapisał w nim numer, opatrując go nagłówkiem Lwowiak. Wjeżdżali już w roгатki miasta, gdy w końcu kierowca zatrzymał autobus. Nim Piotrek założył plecak, Lwowiak na pożegnanie wsypał mu do kieszeni całą zawartość puszek po landrynkach. Na niekończące się podziękowania Piotrka kierowca tylko bąknął:

– Przydadzą ci się! Następnym razem jak się spotkamy - Ty stawiasz piwo!

Piotrek, błąkając się bez planu po Szczecinie, maszerował ulicami obok obdartych z tynku kamienic, obok ścian domów pełnych dziur po pociskach i szrapnelach, ciągle przypominających wojenne czasy. Przemierzał bez celu podobne do siebie parki z alejami wysadzonymi starymi kasztanowcami. Mijał uszkodzone kalekie rzeźby na nieczynnych od czasów wojny poniemieckich fontannach i nowo postawione monumentalne „pomniki wdzięczności” dla „radzieckich wyzwolicieli”. Z nieukrywaną ciekawością obserwował, jak poubierani są ludzie, zaglądał w ich twarze. Ludzie, mieszkańcy, zawsze interesowali go

bardziej niż ulice, skwery czy kościoły, niż teraz to całe poniemieckie miasto. W końcu u kresu dnia, nie bardzo wiedząc, co dalej ma ze sobą począć, popędzany wewnętrznym strachem, dowiedziawszy się od takich jak on wólczągów, że istnieje w Szczecinie schronisko młodzieżowe, Piotrek postanowił odszukać je i tam podjąć próbę zatrzymania się na noc.

Udało się. Z trudem, bo z trudem, ale ubłagał kierowniczkę schroniska, która, litując się nad „samotnym dzieciakiem”, pozwoliła mu na przycupnięcie w domu przeznaczonym tylko dla zorganizowanych grup młodzieży. Już na drugi dzień Piotrek, zaprzyjaźniwszy się z pomocą dużej ilości piwa, z grupą młodzieży z Wilna goszczącą akurat w schronisku, wciągnięty do ich grona, został w schronisku aż trzy dni. Niestety, sputując się, co do grosza. Był hojny przede wszystkim dla ładnej blondynki w jego wieku. Miała na imię Swietłana i zruszczone polskie nazwisko Barszczewskaja. Piotrek w swojej młodzieńczej naiwności jeszcze nie umiał wykorzystać tego, że dziewczyna w wytwarzanej przy piwie atmosferze „przyjacielskiego dialogu” mimo, że była członkinią Komsomołu i zaciekle broniła idei komunizmu, z o wiele mniejszą aktywnością broniła dostępu do siebie. A nawet... była natrętnie ochocza. Po paru wypitych piwkach, jej ręka przy każdym zbliżeniu, wciskała się pod pasek spodni Piotrka, a jej język, niczym Czerwonoarmiejec, walczył zaciekle z jego nieśmiałością, jeszcze nieumiejącym odpowiedzieć na miłosne igraszki. Tak naprawdę Piotrek był jeszcze prawiczką.

Po trzech dniach spędzonych w schronisku, prawie z uszczerbkiem na cnoście, ale bez grosza w kieszeni, Piotrek ruszył dalej – do Gorzowa. Jechał teraz na przyczepie wiozącej długie stalowe pręty, kątowniki i arkusze blach, ostrych na swych końcach jak brzytwa. Ich ostrość, poczuł od razu, gramoląc się na platformę. Przecięta łydka krwawiła tak intensywnie, że gdyby nie pomoc podróżujących z nim, szukających tak jak on przygód wólczągów, chyba by się wykrwawił. Krawiec, na którego warsztat natknął się, szwendając się po ulicach Gorzowa, nie tylko udostępnił mu maszynę, by mógł zszyć przeciętą nogawkę, ale opatrzył mu solidniej łydkę i poczęstował „przyszłego kolegę po fachu” kanapkami i herbatą.

– Weź, weź, kiedyś mi oddasz... – żegnając się z Piotrką, stary krawiec wcisnął mu zwitek banknotów.

Już się zmierzchało, gdy, po wielu godzinach bezsensownego błąkania się po mieście, Piotrek zauważył, idącą za nim grupkę obdartusów, wyglądających na zagorzałych kibiców tutejszej piłkarskiej drużyny. Im bardziej przyśpieszał kroku tym oni byli bliżej niego. Zaczął uciekać, gdy dostrzegł komisariat milicji, niewiele się namyślając, wbiegł do środka...

Sam nie wie, jak przekonał dyżurującego sierżanta, że ten, udostępnił mu prycę w celi. Na całe życie, jednak zapamiętał, że gdy zbudził go dzień, i chciał opuścić posterunek...

Wcześniej, na komendzie nastąpiła zmiana służby i sierżanta zastąpił plutonowy, który w ogóle nie wiedział, że ktoś jest w celi. Plutonowy nie miał zamiaru go wypuścić. Szarpiącemu metalowymi kratami i krzyczącemu Piotrkowi plutonowy zakomunikował:

– Nie wiem, co Ty tu robisz, nie wiem, czy czegoś nie przeskrobałeś. Nie wiem, za co Cię sierżant zamknął. - Nie powinno tu Ciebie w ogóle być, nie mam żadnej notatki. Wróci sierżant na służbę, to zobaczymy... - Kubek ciepłej zbożowej czarnej kawy z mlekiem, dwie kromy pszennego chleba i sporawy kawałek kiełbasy, ośłodziły Piotrkowi gorycz uwięzienia. Za zakratowanym oknem celi, niedzielne, letnie słońce zachęcało do życia – do życia na wolności. Nie daj Boże dostać się do więzienia – przemysliwał Piotrek, mając na to aż nazbyt wiele czasu.

Do Wrocławia, przez Zieloną Górę i Legnicę Piotrek podróżował trzy dni różnymi okazjami w towarzystwie takich jak on desperatów, bez grosza w kieszeni. Całe ich grupy koczowały przed i za miastami, przesypiając noce w stodołach u gospodarzy, w stogach siana, lub po prostu w przydrożnych rowach. Niektórzy z nich stanowili pary. Dziewczyna ze śliwką pod okiem i papierosem w ustach, kiedy jej kumpel poszedł do Geesu po papierosy, a ciężarówka chętna zabrać całą ich zgraję zatrzymała się na poboczu, zaproponowała Piotrkowi:

– Masz forszę? - To pojedę z Tobą, będziemy razem...

Mimo, że pragnął towarzystwa, a autostop w pojedynkę dawał mu się coraz bardziej we znaki i z chęcią przytuliłby się do kogoś – był bez szans. Był bez grosza.

Za przeładunek dwóch wagonów cegły na ciężarówkę w Zielonej Górze dostał tyle forsy, że wystarczyło mu na kostkę smalcu, bochenek chleba, parę torebek oranżady w proszku i w Legnicy następnego dnia, upragnione prawdziwe śniadanie w barze mlecznym. Już nie był głodny, mógł biec dalej.

We Wrocławiu znalazł się w samo południe, przed jakimś składem, wysypany z przyczepy wraz z tonami młodych ziemniaków. Pracował do wieczora przy ich załadowywaniu na pojedyncze samochody dostawcze, które pojawiały się na składzie jeden po drugim. Znowu zarobił tyle, że mógł kupić sobie coś do zjedzenia.

Niedaleko składu, w którym przerzucał ziemniaki, spora kolejka ludzi stała przed sklepem mięsnym. Stał i on, znowu głodny i wyczerpany. Gdy zbliżał się do lady, zorientował się, że to „Tania Jatka”. Za ladą i na ladzie leżały jakieś podgotowane mięsa, kości obdarte ze zwierzęcych mięśni, podroby straszące swoim zapachem i wyglądem. Na hakach wisiły pojedyncze pęta kiełbas. W końcu, po długim namyśle i braku zdecydowania Piotrek poprosił

o połowę pęta kielbasy. W decyzji pomógł mu stojący za nim facet ubrany w brudny i porozdzierany drelichowy kombinezon. Z porwanej bruzdami twarzy, na której wąs i parodniowy zarost nie umiały zasłonić bezzębnych dziąseł, facet wysepleniał niecierpliwie:

- Bierz, bierz, nie ceregiel się, końska, ale dobra. Bierz całą, ja ją jem często, da się zjeść, nie jest taka zła, dobra, dobra.

Dobrze, że w końcu Piotrek zdążył wyjść ze sklepu, mdliło go, nie tylko z głodu.

Już wieczorem, w centrum Wrocławia, w głębi parku, na ławce, którą trochę skrywały krzewy, Piotrek zdjął z siebie plecak i próbował się rozgościć. Pierwszy raz w życiu jadł kielbasę z koniny. Nadchodzący zmrok nie umiał ukryć bordowo fioletowego koloru mięsa. Jednak głód podpowiadał mu, że kielbasa nie jest taka zła, że jest nawet smaczna. Jadł.

Park w tym miejscu był mroczny i wydawał się pusty. Może zakotwiczę tutaj na noc? Prześpię się tu, na tej ławce... Co mam ze sobą począć w tym Wrocławiu? Nie miał już sił błąkać się bez celu, nie miał żadnych planów. Kiedy wcisnął do plecaka resztkę niezjedzonej kielbasy i niedokończony bochenek chleba, gdy skończył popijać oranżadę z butelki – zaczął przymierzać się do rozwinięcia na ławce koca i zrobienia sobie legowiska.

Nagle, z różanych krzewów, z mroku alei, którą niemrawo oświetlała oddalona latarnia, wyłoniła się postać. Piotrek, czujnie bacząc w stronę podchodzącego do niego mężczyzny, zaczął na powrót rolować koc – udając, że tylko poprawia go przy plecaku.

– Cześć! Masz zapalki? – Mężczyzna z papierosem w ustach, niewyraźnie zagadnął, zatrzymując się z wyciągniętą na przywitanie ręką.

– Cześć – odpowiedział cicho, ledwie dosłyszalnie Piotrek i niepewne wyciągnął rękę do obcego.

– Zbliża się noc, zaczyna być chłodno... Jesteś z Wrocławia czy... – Obcy dalej próbował nawiązywać rozmowę, nie doczekawszy się odpowiedzi na pytanie o zapalki.

– To drugie – znowu cicho, niepewnie odburknął Piotrek, uwalniając jak najszybciej swoją dłoń z wilgotnej łapy tamtego. W mroku latarni obaj zerkali na siebie przenikliwie.

Obcy był krępyim mężczyzną z wysokim czołem, a właściwie tylko z aureolą rzadkich włosów okalających głowę, o którą przewyższał Piotra. Miał na sobie polo, w jaskrawe, tęczowe poprzeczne pasy wciśnięte w Dunkry – polskie podróbki džinsów. Spodnie były za obszerne, marszczyły się pod zaciśniętym w talii paskiem. Podwinięte na dole nogawki odstaniały wielgachne stopy w szarych skarpetkach i ciężkich, zniszczonych sandałach. Obcy wyglądał na... czterdzieści, może pięćdziesiąt lat. Wyciągając z kieszonki na piersi papierowe opakowanie, zapytał:

– Zapalisz?

– Nie, nie palę! – Piotr nie spuszczał z mężczyzny oka, jakby instynktownie przeczuwając zagrożenie - spróbował nadać swojemu głosowi szorstkość.

Obcy schował papierosy do kieszeni i przysiadł obok na ławce zakładając nogę na nogę.

– Widziałem, że popijałeś... piwko?

– Nie, to była oranżada.

– Może zrobimy jakieś winko? Mam pieniądze.

– Nie. Muszę już iść – to mówiąc, Piotr niezdarnie, nerwowo dalej markował przytracanie koca do plecaka.

– Nie masz gdzie spać?

– Nie. Mam – Piotrek szybko zaprzeczył. – Idę - zarzucił plecak, próbując odejść, ale nieznajomy chwycił go mocno za ramię.

– Zaczekaj! Przecież widzę, że nie masz, co ze sobą zrobić. - Chcę ci pomóc. Jestem z Wrocławia. Mieszkam tu, wracam do siebie po skończonej pracy. Możesz przespać się u mnie.

– Nie. Pójdę już - Piotrek uwolnił się od ręki, którą tamten uparcie próbował trzymać go za ramię. Odeszli od ławki, Piotrek chciał jak najszybciej znaleźć się w bardziej ruchliwej i oświetlonej części parku, szli obok siebie.

– Skąd jesteś? Długo podróżujesz? Jak długo zamierzasz zostać we Wrocławiu? – z zaciekawieniem zaczął wypytywać obcy, odstawiając przy tym w przytulnym uśmiechu swoje żółte chore zęby.

– Jestem z Gdańska. Mam się tu w parku spotkać z kumplami z uczelni – skłamał.

– Jesteś studentem? – Obcy wydawał się niedowierzać. – Co studiujesz?

– Weterynarię.

– O, to jesteś bratnia dusza! Ja pracuję na pogotowiu. Jestem sanitariuszem. Właśnie jestem po dyżurze. Dwanaście godzin zapieprzania. Zapal – mężczyzna po raz drugi wyciągnął papierowe opakowanie.

– Nie, już mówiłem, nie palę – Piotrek odpowiedział znowu dość oschle.

Tamten, trzymając papierosa w kąciку ust, ciągle przeszukiwał kieszenie. – Chyba zostawiłem zapałki w fartuchu. Nie masz ognia?

Piotrek miał, miał w plecaku, w wierzchniej kieszonce amerykańską zapalniczkę – znalazłby ją jednym ruchem ręki, bez problemu, ale zaprzeczył:

– Nie.

Idąc, zbliżali się do obrzeża parku stykającego się z ulicą. Tutaj było więcej ludzi i ławki mimo zmroku były pozajmowane. Mijała godzina dwudziesta pierwsza i chłód nadciągającej nocy powoli przeganiał ciepło, które jeszcze próbował pozostawić po sobie upalny dzień. Zza krzewów dzikich róż oddzielających park od ulicy, dobiegał nikły gwar, potęgowany od czasu do czasu warkotem przejeżdżających samochodów. Tu Piotrek poczuł się pewniej. Na ławce, którą mijali, siedziały dwie kobiety, zauważył trochę wolnego miejsca, przystanął i zrzucając jednym ruchem plecak z ramienia, umieścił go na jej skraju.

Dwie stare, tęgie kobiety natychmiast podniosły się i odeszły, zabierając ze sobą załadowane toboły.

– Muszę tu poczekać na kumpli, tu w tym parku umówiliśmy się... – Piotrek znowu próbował kłamstwa, ale zobaczył, że nieznajomy go nie słucha, bo szybko podskoczył do idącego opodal mężczyzny palącego papierosa. Odpalił od tamtego, wypuszczając z ust kłęby dymu i ponownie usiadł przy Piotрку, nonszalancko rozpierając się na ławce.

– Zrobiłbym chętnie butelczynę. Pocieszymy się, nim przyjdą twoi kumple. Skoczę na drugą stronę ulicy. Znam tu wszystkie meliny. Zaczekasz? Zaczekaj! Nie odchodź.

Mężczyzny już przy nim nie było. Piotrkowa odmowa ugrzęzła gdzieś w szumie drzew. Już zarzucił plecak na ramię, już chciał jak najszybciej opuścić park, opuścić to miejsce... Nieznajomy nie wzbudzał sympatii, Piotrek nie miał zamiaru pić alkoholu z kimś obcym, z kimś „takim”, w obcym mieście.

W każdych innych okolicznościach by odszedł, uciekł, ale autostop rządził się swoimi prawami... Piotrek nie miał, co ze sobą począć, był wyczerpany do granic, nawet nie miał siły już wstać z ławki... Nie minęło parę minut a mężczyzna znalazł się przy nim. W rękę trzymał uplecioną z żyłki siatkę, z której wystawały dwie szyjki ciemnych dużych butelek.

– Może wrócimy na tamtą, poprzednią ławkę w głębi? Tu kręcą się gliny. Albo chodźmy, pójdziemy do mnie. Chodźmy!

– Nie. Muszę poczekać tutaj. Tu jestem umówiony, w tym parku z kumplami! – zdecydowanie próbował kłamać Piotrek, dając obcemu do zrozumienia, że na pewno zaraz spotka się z kumplami. – Zostańmy tutaj – uparł się.

- Dobra, jak chcesz – tamten już sprawnie odbijał dłonią korek z butelki jakiegoś nieznanego Piotrkowi gatunku wina. Korek nie ustępował. Piotr już miał podać mu towarzysza podróży –

duży scyzor z kościaną rękojeścią, który oprócz otwieranego dwunastocentymetrowego ostrza, miał z boku korkociąg. Nóż miał aż ciepłą rękojeść od ciągłego ściskania jej przez Piotrka w kieszeni spodni. Nie wyjął go jednak, jakoś tak instynktownie, nie chciał zdradzić, że jest „uzbrojony”.

– Pij, ciągnij – uporawszy się w końcu z korkiem, obcy podał butelkę Piotrowi.

Kietbasa z końskiego mięsa, ostro przyprawiona, jeszcze paliła żołądek. Piotr pił jakieś niesmaczne alkoholowe gówno - jak oranżadę. W końcu oddając butelkę nieznajomemu, zapytał:

– Jak masz na imię?

– Zyga – wyleciało z ust mężczyzny jak zgrzyt szkła pocieranego o szkło. - Zyga – powtórzyło się jeszcze raz zgrzytnięcie.

– A ja Piotr. Piotr. - przedstawił się jeszcze raz, bo nie był pewien czy jego głosu nie zagłuszał wydobywający się z gardła tamtego gulgot.

Butelka szybko została opróżniona. Piotrek nawet nie zdążył powiedzieć, żeby tamten nie otwierał drugiej, bo on już nie będzie pił. - Nie chce, ma dosyć! Mężczyzna jednak paroma uderzeniami, szybszymi i sprawniejszymi niż za pierwszym razem, otworzył ją i podał Piotrkowi.

– Pij, pij, pij, kurwa... – natrętnie przymuszał, dostrzegając, że Piotrek, dotykając ustami butelki, tylko próbuje markować picie.

Chłopak wiedział, że już więcej nie może, nie powinien. Już kręciło mu się w głowie i mdliło.

– Nie, już nie chcę. Oddał butelkę mężczyźnie i po chwili usłyszał znowu jak tamtemu sikacz przelewa się przez gardło. Po chwili Zyga ponownie energicznym ruchem podał butelkę Piotrkowi.

– Kurwa, pij, pij!

– Nie, już nie chcę, nie mogę – bronił się Piotrek i nie wiedząc, czemu - chyba ze strachu - znowu przyłożył butelkę do ust i tykał, tykał...

Mimo, że księżyc i gwiazdy już rozświećlały noc i latarnie też jakby bardziej dawały sobie radę z ciemnościami parku, Piotrek zdawał sobie sprawę, że jest późno, że już chyba po północy...

– Twoi kumple nie przyszli. Prześpisz się u mnie, idziemy! – nie czekając na decyzję Piotrka, obcy zarzucił sobie na ramię plecak.

Piotr podążył za nim. - Gdzie mieszkasz? Daleko? – Idąc obok, coraz bardziej znużony zapytał podejrzliwie.

– Przejdziemy przez park, zaraz będzie widoczna wieża kościoła, zobaczysz...

Piotr uwolniony od ciężaru plecaka obie ręce trzymał w kieszeniach spodni. W jednej ciągle grzał rękojeść dużego scyzora. Trochę szumiało mu w głowie.

– Muszę się wysikać.

– Ja też.

Obaj weszli w parkowe krzewy. Piotr myślał, że już nigdy nie przestanie wydalać z siebie moczu, sikał i sikał. Kiedy skończył, tamten już czekał na niego pośrodku alei. Byli sami, tylko parkowe drzewa szumem opowiadały sobie o tym, co wydarzyło się za dnia i co wydarzy się dzisiejszej nocy we Wrocławiu.

Może tylko one o tym wiedziały...?

Kościół, a może katedra, bo taki ogromny, stał pośrodku brukowanego placu, w oddali otoczony jakby tanecznym kręgiem kamienic, wyższych i niższych, które wyglądały jakby jeszcze nie wydźwignęły się z powojennej zawieruchy. Gdzieś tam migotało światło w oknach, gdzieś tam na dole domów widoczne były zza zasuniętych krat, skąpo oświetlone sklepowe witryny. Sam kościół – niczym olbrzymia góra, dominował nad mrocznym placem. Szli ciągle w jego kierunku.

– Daleko jeszcze? – Mimo odwagi, której dodawał mu wypity alkohol, Piotra nękał ciągle niepokój.

– Oprócz pracy w pogotowiu dozoruję, pilnuję katedry – wyjaśniał po drodze Zyga. Katedra jest w remoncie, była jeszcze nie ruszana od wojny. Dopiero teraz wzięli się za remont, mam tu lokum. Trzymaj - oddał plecak Piotrowi, bo nagle znaleźli się przy wejściu do bocznej nawy zastoniętej ogromnymi paździerzowymi płytami i deskami przybitymi do wbitych w ziemię pali. Mężczyzna bez specjalnego wysiłku przesunął jedną z płyt i kiwnął na Piotrkę:

– Daj plecak i włącz.

Piotr precyzyjnie przeszedł przez wąską szczelinę. Tamten zrobił to samo, najpierw przepychając plecak. Parę niepewnych kroków i znaleźli się przy ciężkich kościelnych wrotach. Zyga otworzył je kluczem, który nagle pojawił się w jego ręku. Powiało chłodem i wilgocią kościelnych ciemnych czeluści. Piotr poczuł na swoim ramieniu rękę tamtego. Mężczyzna próbował poprowadzić go przez ciemną otchłań jakiegoś przedsionka.

– Zaczekaj, pójde pierwszy. Znam tu każdy centymetr, zaraz zapalę światło.

Piotr pozostawiony sobie, zaczął rozdzierać rękoma mrok ciemności, bojąc się poruszyć. Nagle, gdzieś zza ceglanej ściany, wątle światło oświetliło przestrzeń paru schodów.

– Wchodź, wchodź do góry, tu już jest jaśniej – usłyszał.

Piotrek niemrawo pokonywał schodek po schodku opierając się ręką o ścianę, aż w końcu zobaczył Zygę stojącego przed jeszcze jednymi otwartymi drzwiami prowadzącymi do wnętrza...

Była to kaplica o zaokrąglonych ścianach i barokowym sklepieniu. W przytłumionym świetle, ledwie rozjaśniającym mrok, Piotrek ujrzał grotę a w niej... ołtarz. To właśnie z głębi tej grotki, sączyło się światło, które choć nikłe, pozwalało jednak, dostrzec płynący po skałach, z ledwie słyszalnym szmerem, wodny potok. Płynący po kamieniach wodospad, okalał ze wszystkich stron figurę Matki Boskiej. Stała z uniesionymi rękoma, w glorii aureoli z malutkich świecących się żaróweczek. Piotrek nagle poczuł, że te uniesione dłonie Przenajświętszej Mateczki jakby były skierowane tylko do niego, do Piotrka... Stare dywany przykrywały podłogę przy ołtarzu. W stojących po bokach grotki dwóch wazonach, cięte (świeże!) kalie świadczyły o żywotności świątyni.

Mężczyzna, przechodząc przed ołtarzem, machinalnie zgiął kark i zamarkował żegnalny ruch ręką. Piotrek chciał się skłonić podobnie, ale nie wiedząc sam czemu, padł na kolana i zaczął się gorliwie modlić. Był przekonany, że robi to w ciszy, modlitewnym szeptem – jednak i do obcego dochodziły jego słowa: *Mateńko Przenajświętsza, przepraszam cię. Mateńko Przenajświętsza wybac mi. Mateńko Przenajświętsza nie opuszczaj mnie...*

W końcu podniósł się z kolana i szybko podążył za Zygą, który znikł mu za ołtarzową grotą. Gdy Piotr znowu go ujrzał, mężczyzna kolejnym dużym kluczem, wyjętym wraz z latarką ze ściennej wnęki, otwierał już ciężkie kute w żelazie drzwi. Piotr wytrzeźwiał już do reszty, idąc za obcym, czuł drżenie serca i ogromne napięcie. Jego prawa dłoń ściskająca w kieszeni scyzor stawiała się coraz bardziej mokra.

Ale się wpakowałem... – myślał prawie na głos. Taaak, teraz nie było już odwrotu. Piotr dalej niezdarnie starał się podążać za mężczyzną. W końcu, potykając się co chwilę o niewidoczne przeszkody, znalazł się w pomieszczeniu... Zagraconym, pełnym belek, desek, jakichś maszyn budowlanych, jakichś przyrządów i narzędzi. Kiedyś mogła to być zakrystia? – mimo strachu zastanawiał się Piotr - prawie po omacku nadążając ciągle za tamtym idącym dosyć pewnie. W oddali, w wątym świetle latarki Piotr zobaczył jeszcze jedne drzwi, z którymi mężczyzna przez chwilę się zmagał. W końcu znaleźli się w ogromnych przestworzach świątyni, bez kościelnych ław, bez przepychu ołtarzy, organów i ambon - katedra stanowiła jedną wielką otchłań. Przez barokowe oczodoły okien – zapewne kiedyś zamkniętych

bogactwem witraży – teraz noc wdzierwała się chłodem i księżycową poświatą. Rozryte, jakby zaorane pługiem podłogi świątyni utrudniały posuwanie się w ciemności.

– Gdzie my idziemy? Po co? Gdzie my jesteśmy? – niepokoił się ciągle Piotr głosem przytłumionym strachem.

– Chodź, chodź prawie jesteśmy na miejscu...

Ciągle potykając się, Piotr coraz mniej pewnie, coraz bojaźliwiej podążał za mężczyzną. W końcu dotarli do bocznej nawy, z której prowadziły ku górze kręte, szerokie, ale również niemiłosiernie zagracone schody. Latarka z wyczerpującymi się bateriami ledwie dzieliła się mdłym światłem. Ostrożnie, stopień po stopniu, Piotrek piął się ku górze za mężczyzną. W końcu dotarli do przestrzeni, którą zamykały szerokie wrota. Mężczyzna jedną z ich części otworzył wyjętym z kieszeni kluczem. Gdy byli już po drugiej stronie - na powrót przekręcił klucz i schował go do kieszeni Dunkrów.

Znaleźli się na górnej, balkonowej, równie ogromnej części katedry. Jej przestrzeń wypełniało wszystko to, co uważano za cenne i zdołano przenieść z dołu katedry. Ledwie przecisnęli się przez sztaplowaną stertę kościelnych ław, już z ciemności wyłoniły się oparte o ściany i poukładane jeden na drugim, fragmenty rzeźb ołtarza. Dalej, inną stertę stanowiły części organów; świecące niklem piszczały, złote rzeźby aniołków grających na trąbkach i fletach... Opodal, różnej wielkości krzyże rzucone na siebie, tworzyły następną mroczną stertę. W słabym świetle księżyca przenikającego przez oczodoły okien majaczyły drewniane i gipsowe figury wszelakich świętych. Z zakurzonych, połyskujących w mroku kolorem złota, dużych, ciężkich ram, biblijne brodate postacie jakby wychodziły im naprzeciw... Zimny pot oblewał Piotrka, ledwo nadążał za wątłym światłem latarki, potykał się co chwilę, niezdarnie, podążając za czującym się tu jak u siebie w domu mężczyzną.

– No, już jesteśmy na miejscu - u mnie w domu ha, ha, ha... – zakończył tamten chichotem i po chwili, mgliste światło lampy rozświetliło mieszkalną przestrzeń utworzoną przez układ mebli i porozstawiane przedmioty. Metalowe łóżko z rozrzuconą brudną pościelą, obdarty tapczan, kuchenny stary kredens, ogromna szafa na ubrania, wysokie lustro oparte o jakiś przedmiot, okrągły stół na jednej ciężkiej wyrzeźbionej nodze, kilka krzesel z wyjątkowo wysokimi oparciami... – Wszystko to, tworzyło prostokątną zabudowę i przypominało scenografię makabrycznego filmu Hitchcocka – a tu, przygotowaną do... zamieszkania? Na szerokiej desce opartej na dwóch taboretach stała elektryczna kuchenka, na niej poobijany z emalii czajnik. Obok, przeróżne puszki, słoiki, kubki i talerze. Podłogę z szerokich desek przykrywał stary wytarty dywan, po którym wił się niczym czarna żmija - kabel odchodzący gdzieś w ciemność.

– Na razie tu mieszkam. Pracuję na cały etat w pogotowiu - a tu, w katedrze jestem dozorcą. Wolę mieszkać tu w katedrze, na chórze, niż w przydzielonej mi przykościelnej budzie ha, ha, ha... – mężczyzna znowu zachichotał tak głośno, że aż jego śmiech powtórzyło echo katedry.  
– Lubię to miejsce. Sam sobie je urządziłem. - Ładne gniazdko coooo? – z odcieniem dumy, jakby radośnie zagadywał dalej Zyga. – Zaraz napijemy się czegoś gorącego. No i mam wódeczkę... - Wcisnął kończącą kabel wtyczkę, w przedłużacz i spirale okrągłej kuchenki zaczęły jarzyć czerwienią, pod czajnikiem, do którego przedtem sprawnie nalał wody z dużej metalowej bańki na mleko. Mówił i krzątał się swobodnie wśród znajomych dla siebie sprzętów.

Piotr, siadając na zdezelowanym tapczanie, czuł, że coraz bardziej zapada się, wgłębia w jego wyrobione miękkości. Zdziwionymi, półotwartymi ze zmęczenia oczami rozglądał się dookoła, jakby nie dowierzając, że się tu znalazł, że to wszystko dzieje się naprawdę. Na kolanach ciągle trzymał nierozpakowany plecak.

– Odtóż kurwa ten plecak! – Zyga niespodziewanie gwałtownym szarpnięciem wyrwał mu go i odrzucił obok tapczanu. – No, coś taki drętwy? Zaraz będzie herbatka. Jesteś głodny?

– Nie, niedawno jadłem... – mówiąc to, Piotr mimo woli uświadomił sobie, że jest już bardzo późno, że od tego czasu, gdy jadł końską kielbasę minęło parę godzin. Spojrzał na zegarek. W świetle lampy, przytłumionej zawieszoną wokół żarówki ścierką, ledwie dostrzegł wskazówki. Dochodziła druga.

Zyga cały czas się krzątał. Zalewał wrzątkiem nasypaną w szklanki herbatę. „Ulung” – dojrzał nazwę Piotr. Ze starego kredensu wyjął jeszcze dwa szkła „po musztardzie” i z butelki po mleku nappełnił je do połowy ciemnym płynem, mówiąc z dumą: Z pogotowia, stuprocentowy spirytus, z syropem. Wypijmy po sztakańcu - zobaczysz jaki dobry!

– Nie, nie będę już pił, jestem zmęczony! – Piotr próbował wykrzyczeć prawdę. Teraz, gdy siedział w tym dziwnym miejscu, na rozwalającym się tapczanie, tylko przeczucie grozy z trudem utrzymywało jego powieki przed opadnięciem. Praca fizyczna przy cegłach, ziemniakach, brak snu, nieustanne niedojadanie – wszystko to kumulowało się w nim teraz – tu, na tym tapczanie, w tym miejscu, w tej katedrze. Ledwie się przemógł, sięgając po szklankę z herbatą - jednak nie uniósł jej, była gorąca, parzyła.

– Wychył kielicha! Wychył! Zaraz poczujesz się rażniej! – podając szklankę z ciemnym płynem podobnym do herbacianej esencji, zachęcał Zyga, dostrzegając zmęczenie Piotra.

– Nie, nie chcę! Nie mogę! – bronił się rozpaczliwie Piotr, ale tamten trzymał już szklankę tuż przy jego ustach.

– Wypij!

To już nie było delikatne, przyjacielskie zachęcanie, prośba – to było syknięcie węża. Piotr bojaźliwie wziął do ręki szklankę i mimochodem, skrycie powąchał.

– Nie bój się, to nie trucizna. To czysty spirytus z pogotowia. Zmieszałem go z syropem kminkowym, no wiesz... - takim na żołądek. - Czego ty się boisz? – zachichotał – sam opróżniając całą zawartość szklanki - nawet się nie krzywiąc.

Piotr ciągle z obrzydzeniem przyglądając się trzymającej w ręce szklance w końcu, umoczył usta smakując. Nigdy nie lubił kminku pod żadną postacią - a tu, teraz, jeszcze z alkoholem! Aż nim wstrząsnęło.

– Nie mogę! Nienawidzę kminku! - Odstawiając szklankę - krzyknął tak głośno, że sam wystraszył się swojego głosu rozbrzmiewającego po całej katedrze i powracającego z mroku.

Zyga, z lubością ponownie nappełnił swoją szklanice i od razu, jednym haustem ją opróżnił, odstawił, i... sięgnął po ciągle pełną Piotra. Nagle ich twarze znalazły się tak blisko, że Piotrek poczuł alkoholowy, brudny oddech tamtego...

– Pijjj! – syknął mężczyzna przez zaciśnięte zęby – szklanka już dotykała ust Piotrka.

– Nie mogę! Jutro będę chory! A... chcę tu zostać u ciebie parę dni. Chcę żebyś mi pokazał Wrocław. Żebyśmy pobyli razem... Chcę, naprawdę... Być, być z Tobą...

– Luluś, kurwa... – mruknął tamten jakby do siebie. Odstawił szklankę Piotrka i nałał ponownie, do swojej ciemnego płynu z szerokiej szyjki butelki po mleku.

– Chcesz być ze mną? U mnie? Parę dni? – nagle zaczął dopytywać z niedowierzaniem.

– Tak, tak – skwapliwie przytakiwał Piotrek, instynktownie broniąc się tym kłamstwem przed czymś, co wyczuwał, że może się wydarzyć. – Chcę zostać u Ciebie parę dni, parę dni... Tak, tak – przytakiwał samemu sobie skwapliwie. – Chciałbym, żebyś mi pokazał miasto. Jestem tu we Wrocławiu pierwszy raz... Jesteś fajny facet! Przez te parę dni na pewno się zaprzyjaźnimy... – mówił nerwowo, z niepokojem i, z nadzieją - oczekując na przychylną reakcję tamtego.

Mężczyzna jednak jakby nie wierząc słowom chłopaka, odstawił szklankę, wziął niewypitą Piotra i siadając przy nim tak blisko, że... Piotr próbował się odsunąć, ale boczne oparcie tapczanu już na to nie pozwalało. Od mężczyzny jechało alkoholem i dziwnym trupim potem. Piotrek zauważył ten pot na jego czole, skroniach, pod nosem, widział, jak się skrapla, jak spływa stróżką tamtemu po twarzy, po szyi gdzieś w dół.

– Chcesz ze mną zostać i się nie napijesz? Nie chcesz się napić z kumplem, z przyjacielem? - No, ty trochę i ja - brudzia... Mężczyzna obłapił Piotra prawą ręką za szyję, mocno go przyciskając do siebie. W lewej trzymał szklankę Piotra. – Noooo, pij! pij!

Uchwyt, który poczuł na sobie Piotr, był silny - aż zabolalo. Zdało mu się nawet, że dosłyszał chrzęst swoich szyjnych kręgów. Strachliwie spróbował rękoma odepchnąć, oderwać od siebie szklankę, którą tamten już ocierał o jego wargi, zęby... – Nie, nie! Przestań! – bronił się. Chciał się wyrwać, ale kleszcze tamtego były silne, stalowe... Szklanka coraz boleśniej ocierała o jego wargi, zęby. Alkohol rozpryskiwał się po twarzy, dostawał się pod powieki... Piotrek poczuł piekący ból. Niczego już nie mógł dostrzec, tymczasem, uścisk Zygi stawał się jeszcze mocniejszy, wręcz paraliżujący...

Piotrek przestawał się bronić. Jeszcze, jeszcze tylko resztką świadomości, prawie zza zamkniętych powiek, próbował dostrzec to, co się w tych sekundach działo – już, już bezwiednie... Znieruchomiał, czuł, że przestało bić mu serce, gdy tuż przy swojej twarzy poczuł zgnity oddech tamtego...

Gdy, z wielkim trudem ponownie spróbował uchylić powieki, dostrzegł Zygę stojącego przy nim już bez koszuli. Błady, nigdy niewidzący słońca pryszczaty tors, prawie go dotykał. Mężczyzna nerwowymi ruchami rozpinął pasek, rozsuwał zamek rozporka... Dunkry opadały w dół a potem, stopy w samych skarpetkach przydeptywały brudne szare majtki...

Piotr jeszcze oddycha, jeszcze półprzytomny, spod prawie zamkniętych powiek dostrzega, jak tamten po dużym sterczącym bordowo-fioletowym członku, przypominającym mu kupioną w taniej jatce końską kietbasę, przesuwając w górę i w dół zaciśniętą dłoń. Widzi żółdź tamtego - niczym głowę żmii - zbliżającą się do jego twarzy...

Ręce Piotrka bez zauważalnych ruchów, przez cały ten czas przygniecione tułowiem, machinalnie manipulują przy niepostrzeżeniu wyjętym z kieszeni scyzorze. Ostatnią siłą woli, ostrożnie, za plecami, Piotr otwiera ostrze... Jego prawa dłoń już, już mocno ściska rękojeść scyzora...

Zyga, wyginając jeszcze bardziej podbrzusze w stronę twarzy Piotra, coraz szybciej, rytmiczniej porusza ręką ślizgającą się po członku. Piotrek dostrzega uniesioną w górę głowę mężczyzny i przewrócone, gdzieś pod samo czoło gałki oczu, przypominające oczy śniętej ryby. Szerokie nozdrza obcego, poruszają się w rytm jego szybkiego oddechu, w rytm poruszającej się po końskiej kietbasie dłoni... Przez wykrzywione usta i zaciśnięte zęby wydobywa się coraz głośniejszy syk, charczenie. Piotr wie, wie, że jeszcze chwila i ten łeb, ta końska kietbasa wydali z siebie, ciężką białą ciecz, która tryśnie, zbruka mu twarz.

– Nie! Nie! Nie! – gdzieś z trzewi, z gardła, z jego ust szeroko rozwartych przeraźliwy krzyk rozrywa mrok katedry, a prawa ręka chłopaka z niespotykaną u niego siłą, parokrotnie wbijała dwunastocentymetrowe ostrze scyzora w genitalia, w tę obrzydliwą końską kietbasę, która, nagle eksploduje, bryzga na wszystkie strony zamiast białej - czerwonej cieczą.

Usta mężczyzny próbują krzyczeć - ale jak ryba złapana na haczyk nie wydają nawet jęku. Ręce Zygi jeszcze, jeszcze usiłują zatamować tryskającą krew, ale... Zyga osuwa się na kolana, a potem pada twarzą na tapczan. Piotr chwilę przed tym, zapamiętuje jego wytrzeszczone zdziwieniem rybie oczy.

Drży, serce chce rozwalić mu pierś. Oddycha szybko, łapiąc zachłannie powietrze w płuca. Światło mimo przyćmionej ścierką żarówki ukazuje makabryczną scenę, scenę niczym z filmowego horroru - ale to wszystko dzieje się naprawdę! Szeroko otwarte strachem oczy chłopaka rejestrują dokładnie: Nagi mężczyzna, nieruchomo klęczy w kałuży krwi, z głową wciśniętą w tapczan. W lustrze stoi on - człowiek z nożem w ręku. Jego scyzor ma teraz czerwone ostrze... Piotrek podchodzi jeszcze bliżej lustrzanej powierzchni, w odbiciu, dostrzega zbryzgane krwią spodnie, również, kratę koszuli przykrywając rozległe brunatne plamy. Ma krew na szyi, twarzy, rękach...

Chlusnęło z niego całą zawartością żołądka na tamtego, stojącego w lustrze. Z obrzydzeniem zaczął zdzierać z siebie wszystko, w co był ubrany. Częścią czystej koszuli ściera krew z twarzy, z rąk... W końcu kieruje się w pobliże tapczanu, przy którym tamten ciągle klęczy w coraz większej kałuży krwi. Piotrek obchodzi go łukiem, by wziąć plecak, z którego wyciąga zapasowe sztruksowe spodnie i lnianą koszulę w kolorze khaki. Przebiera się. Zakrwawione rzeczy zwija w tobołek, zawiązuje rękawami tak, by mógł łatwiej nieść je ze sobą. Chwyta plecak i już chce odejść, gdy nagle widzi jak tamten osuwa się z klęczek na podłogę i zastyga w bezruchu w kałuży krwi. Tylko usta Zygi jeszcze się otwierają jakby próbowały o coś prosić, ale już nie wydobywają dźwięku.

Piotrek szybko podchodzi do lampy i rozłącza wtyczki. Światło gaśnie, zapada ciemność, której powinien się spodziewać, ale ona go całkowicie zaskakuje. Dopiero po chwili, jego zmęczone oczy zaczynają przyzwyczajać się do ciemności, zaczynają dostrzegać zarysy przedmiotów. Panicznie wystraszony rusza w kierunku ściany z oczodołami okien, przez które księżyc niemrawo, ale jakby odrobinę bardziej, oświeśla wnętrze pełne czyhających na niego przeróżnych rzeźb brodatych świętych. Zda mu się, że ogromne postacie obracają się ku niemu, że zmierzają w jego stronę, że czyhają na niego w mroku katedry. Panikuje. Mógłby przysiąc, że gipsowi i drewniani święci idą naprzeciw niemu z uniesionym mieczem, że chcą go dopaść, unicestwić... Ucieka potykając się o przedmioty, których nie zauważa - chce, pragnie jak najszybciej wydostać się z tego upiornego miejsca, błądzi... Przesuwając się wzdłuż okiennej ściany, ciągle szuka wyjścia, szuka tych wrót, które tamten otworzył, a potem zamknął od wewnątrz i... schował klucz do kieszeni spodni... - Piotr nagle uświadamia sobie, że ten klucz tkwi w kieszeni tamtego - teraz, kieszeni zapewne pełnej krzepnącej krwi... - Nie wróci! Nie potrafi tam wrócić. Panicznie przesuwając się dalej, szukając innego wyjścia... Mija wieczność, a on ciągle, po omacku błądzi po zakamarkach balkonu - nie

odnajdując żadnej szansy. Trzęsie się ze strachu, napotykając na te same przedmioty, na te same zakamarki, przez które już przechodził, potykał się panikuje...

Błądząc, w pewnym momencie Piotr dostrzegł w ścianie, tuż przy podłodze, otwartą wnękę, przez którą wdzierała się odrobina księżycowej poświaty. Tobołek z zakrwawioną odzieżą przeszkadzał mu. Nachylił się i wsunął go we tą wnękę. Ubranie, przepchnięte przez otwór, wpadło w ciemną czeluść, z której do jego uszu dotarł hałas zrywających się do lotu gołębi. Zdesperowany, spróbował i on precyzyjnie się przez ten otwór. Udało się. Znalazł się na dość szerokiej powierzchni gzymsu, z której ciągle gołębie zrywały się ze snu. Przeciągnął za sobą plecak. Był w końcu na zewnątrz, oddzielony murem - od tego upiornego, krwawego miejsca w środku katedry. Odetchnął.

Próbując przesunąć się po gzymsie, nieopatrznie nogą strącił swój ubraniowy tobołek, który poleciał w dół, hen w przepaść nocy. Trzymając się, sam nie wiedząc czego, przechylił się spoglądając za nim. W głębi, mrok nocy tęczył się z brukiem placu. Uświadomił sobie, że jego zbrukana krwią odzież - teraz leży gdzieś tam, u podnóża katedry. Nic już na to nie poradzi... Uważnie przesuwając się po dość szerokim, ale śliskim od gołębich odchodów gzymsie, w końcu doszedł do płaskiej niezadaszonej powierzchni. Tutaj poczuł się już bezpieczniej. Usiadł, usiłując opanować drżenie nóg. Zaczął panicznie rozglądać się dookoła - nie przestając płakać i modlić się, błagać Boga, żeby pozwolił mu szczęśliwie wyjść z opresji, wrócić do domu, od którego teraz był tak daleko. W pewnym momencie przenikając mrok nocy, dostrzegł płaską powierzchnię muru z cegły, w niej majaczyły łukowate, drewniane drzwiczki... Z wysiłkiem wstał i popychając je spróbował otworzyć - bez skutku, były zamknięte. Tylko dziurka od klucza mówiła o tym, w jaki sposób ktoś je zamknął. Z siłą, którą jeszcze udało mu się z siebie wykrzesać, zaczął nogą uderzać w okolice zamka aż, w końcu, stare zmurszałe drzwiczki z trzaskiem ustąpiły, otwierając drogę do...

Z niepokojem, po omacku, wsunął się do środka. Oczy przyzwyczajone do mroku powinny cokolwiek dostrzec - powinny, ale nie w takiej absolutnej ciemności. Starając się wyczuwać powierzchnie nogami i rękoma przesunął się centymetr po centymetrze, gdy nagle, prawa stopa zahaczyła o, jakiś metalowy uchwyt. Piotr schylił się, ukląkł i, zaczął obmacywać... Prostokątna kłapa zasłaniała właz... Chwycił za uchwyt i po trudach, uniósł ciężką drewnianą kłapę. Klęcząc nad czeluścią, w pewnej chwili przechylił się tak niefortunnie, że plecak zawieszony tylko przez jedno ramię, ześlizgnął się i spadając, uderzył o coś głucho na dole. Piotr w końcu, rękoma wymacał metalowe pręty drabiny. Zaczął schodzić po nich w dół, ostrożnie, szczebel po szczeblu... Na dole, jego noga dotknęła czegoś miękkiego - plecak. Ciągle otaczała go niesamowita ciemność, leciały mu po twarzy łzy, których nie był w stanie opanować. – Boże! Gdzie ja jestem?! Co się ze mną dzieje... – panikował, płakał. W końcu przypomniał sobie, że w plecaku ma zapalniczkę. Trzęsącymi rękoma wyjął ją, palący się

plomyk ukazał wąską, głęboką przestrzeń korytarza... Ocierając dłonią o ścianę zaczął powoli przesuwając się, aż w końcu, doszedł do drzwi, drzwi grubych, drewnianych, rzeźbionych... Poznał je, były niedomknięte, przez uchyloną szczelinę sączyło się mgliste światło. Otwierając je, Piotr z uczuciem ulgi już wiedział, że znajduje się w kaplicy oświetlonej aureolą Matki Boskiej. Doszedł do niego zbawienny szmer spływającej po głazach groty wody i zobaczył wyciągnięte, jakby tylko do niego ręce. Ukląkł przed ołtarzem.

– Mateńko Przenajświętsza, Mateńko moja najdroższa, cóż ja uczyniłem. Mateńko... – nie umiał dobrać słów modlitwy. Podniósł się z kolan i zaczął obmywać wodą spływającą po głazach groty twarz i ręce... Woda jeszcze długo łączyła się z jego łzami. Obmywał się, i obmywał, jakby w ten sposób miał oczyścić się z majaków tej strasznej nocy. W końcu, ruszył do poznawalnego już wyjścia z kaplicy. Drzwi nie były zamknięte... Uderzył go chłód nocy, odsunął paździerzową płytę i... W końcu, znalazł się poza terenem katedry.

Świt już próbował wygrywać z nocą, a on ciągle biegł przed siebie po słabo oświetlonych, mrocznych ulicach Wrocławia. Mimo zmęczenia i padającego deszczu, Piotrek biegł coraz szybciej i szybciej, uciekał, by być jak najdalej od *tamtego* miejsca. Kiedy w końcu zmęczony, obejrzał się za siebie, już nie dostrzegł żadnej z wież wrocławskich kościołów.

Znalazł się u wylotu z miasta, na szosie wychodzącej w nieznanym kierunku. Noc coraz bardziej poddawała się świtowi, ale na odległym drogowskazie jeszcze nie był w stanie odczytać kierunkowych nazw. Zresztą, było mu wszystko jedno, dokąd zmierza, byle dalej, byle jak najdalej od Wrocławia, od koszarnej wrocławskiej nocy.

## Część II

Deszcz zacinął na dobre, gdy dotarł do zadaszonego przystanku autobusowego. Był jedynym podróżnym o świcie. Czuł się krańcowo wyczerpanym. Nie miał już siły wlec się dalej. Ułożył się na przystankowej ławie, okrył kocem i tuląc się do skąpych miękkości plecaka zasnął głębokim snem.

Parę osób w pobliżu przystanku, czekając na autobus jadący do centrum miasta, chodziło w tę i z powrotem, spozierając z niesmakiem na śpiącego na ławce - autostopowicza? Włóczęgę? Deszcz już dawno przestał padać, słońce oddalając się ze wschodu, zaczynało coraz mocniej prażyć, gdy w końcu Piotrek ocknął się ze snu i uświadomił sobie, że śpi pod daszkiem przystanku. Zerwał się z ławy mokry od potu ze zlepionymi włosami na oczach. Tak, musi jak najszybciej oddalić się z miejsca, z którego

autobus z powrotem zawióztby go do śródmieścia Wrocławia! W popłochu zwinął i przytroczył do plecaka koc, zarzucił plecak na ramię, i ruszył w kierunku przeciwnym do miasta. Mijał poprzyklejane coraz rzadziej do szosy przedmiejskie zagrody i domostwa. Od czasu do czasu, szosą przemykały auta. Po drodze minął grupę autostopowiczów. Leżeli w przydrożnym rowie, czekając na okazję. Piotrek nie zwrócił na nich uwagi, mimo że pokrzykiwali w jego stronę i przywoływali go do siebie. Nie chciał zawierać żadnych znajomości, nie chciał żadnych rozmów. Koszmar przeżytej nocy nie opuszczał go, siedł z nim jak cień, rozsadzając mu czaszkę. Mimowolnie przyspieszał, szybciej, coraz szybciej biegł asfaltową szosą, zagłębiając się w coraz ciemniejszy, okalający ją las - jak najdalej, jak najdalej od Wrocławia! Och, znaleźć się w domu! Rzucić się w objęcia matki, schować, wtulić w nią - w końcu poczuć się bezpiecznie. Boże, co ja zrobiłem? Zabiłem człowieka! Zabiłem! – płakał, krzyczał tak głośno, że usłyszałby go każdy w pobliżu. Parę godzin snu na przystankowej ławie, u wylotu z Wrocławia postawiło go na nogi na tyle, że teraz ciągle biegł, biegł nie bardzo wiedząc w jakim zmierza kierunku. Był jak najdalej, jak najdalej od Wrocławia!

Czerwony amerykański ford-kombi śmignął koło niego z taką prędkością, że Piotr ledwie zauważył warszawską rejestrację. Tacy się nie zatrzymują dla autostopowiczów... – pomyślał o oddalającym się aucie, które zniknęło za załosem szosy. Znowu przyspieszał, wybiegając zza zakrętu, ze zdumieniem ujrzał stojącego na poboczu czerwonego forda, a przy nim kobietę, która jakby na niego czekała. Zbliżając się Piotrek niepewnie zaczął się kobiecie przyglądać. Miała może... czterdzieści ? (Piotr jeszcze nie bardzo umiał określać wiek kobiet - robił to zwykle, porównując ich wygląd z wyglądem i wiekiem matki). Kobieta miała ładną, jeszcze młodą buzię. Mocna, krwista pomadka uwypuklała jej grube wargi. Podkreślone cieniami powieki i zawinięte, chyba przedłużone tuszem rzęsy, figlarnie mrugające, odsłaniały i zasłaniały jej duże brązowe oczy. Słoneczne okulary przytrzymywały nad czołem kruczoczarne, gęste włosy, opuszczone do ramion. Pulchna, ubrana w dość krótką, granatową spódniczkę i, cienką bluzeczkę tryskającą czerwienią podobną do koloru forda, rozpiętą na piersi tak nisko, że aż wylewał się z niej obfity biust. Stojąc obok auta, kobieta uśmiechała się zachęcająco przyjaźnie.

– Kapeć! – Pomożesz, młody człowieku? – zapytała niepewnie, ale i zalotnie wpatrując się w Piotra.

– Tak... tylko, tak... – Piotrek odrzucił plecak na pobocze. – Tylko, że ja nigdy nie zmieniałem koła – przyznał się, stając bezradnie przy kobiecie.

– Ja też nie – zaśmiała się szczerze. – Trzeba najpierw znaleźć zapasowe, i to, do podnoszenia auta – dodała.

– Lewarek – podchwycił Piotrek.

Kobieta podniosła klapę bagażnika i by dostać się do zapasowego koła odchyliła gruby, wełniany koc w czerwoną kratę. Ogromny bagażnik wypełniony był aż po dach i przednie siedzenia kierowcy... skórkami norek i srebrnych lisów. Leżały powiązane w wiązki sznurkiem za pyszczki. Piotrek jeszcze w życiu nie widział tylu na raz zwierzęcych skórek. Wspólnie z kobietą, odsuwając martwe zwierzęta na wszystkie możliwe strony, wyjęli koło i leżący pod nim lewarek, nie bardzo mając pojęcie co począć dalej. Instynktownie zaczęli szukać miejsca na podłożenie dźwigni pod progiem auta.

Po prawie godzinnym wspólnym uwijaniu się przy wymianie koła oboje spoceni, zmęczeni, wycierając ręce w ręcznik, który kobieta wyjęła z auta, byli prawie zaprzyjaźnieni. Kobieta zmieniając koło, przez cały czas śmiała się i, wesoło przekomarzała z Piotrkim, próbując go ośmielić i wyrwać z rzucającej się w oczy apatii. Piotrek jednak był ciągle zatrwożony i onieśmielony. - Tyle zdarzeń... To wszystko przerastało jego siły.

– Zabierasz się ze mną?

– Och, tak! Tak! – odpowiedział skwapliwie. Jak najdalej od Wrocławia, uciec, uciec jak najdalej od... – o mało co, nie wypowiedział tych zdań na głos.

Siedział teraz rozparty w fotelu pędzącego auta. Kobieta prowadziła z pewnością siebie, brawurowo, bezustannie przekraczając dozwoloną prędkość, ścinając zakręty, za nic mając linie ciągłe. I, zamiast patrzeć z uwagą przed siebie, na szosę – cały czas zaglądała mu w oczy, żartując, pokpiwając z jego nieśmiatego zachowania, i braku męskości nie tylko przy zmianie koła.

Piotrka powinny zadawałać następujące po sobie zdarzenia, przecież z taką szybkością oddalali się od Wrocławia, od tych strasznych, koszmarnych przeżyć - ale, dobywający się z oparcia foteli ciężki, mdławny zapach skórek – niestety, nachalnie przypominał Piotrkowi zapach *tamtego* - mimo woli, zabierając go ponownie w mroczną otchłań katedry.

Kobieta jednak nie domyślając się niczego, usilnie próbowała wyrwać Piotrka z niezrozumiałej dla niej, a tak silnie uwidaczniającej się apatii.

– Źle się czuje mój chłopiec? Przystanąć? Zatrzymamy się gdzieś? Chcesz odpocząć?

– Nie, nie, jedźmy, jedźmy... – ponaglał stanowczo Piotrek.

- To się rozchmurz, wyluzuj! - kobieta, nie dając za wygraną, na przemian śmiała się i zagadywała go, licząc, że go w końcu rozweseli, rozrusza. Wraz z upływem czasu i kilometrów, rzeczywiście Piotrek mimowolnie oddalał od siebie przygnębiające go myśl o Wrocławiu. Coraz chętniej odpowiadał na pytania, zwierzał się ze swojego dotychczasowego życia i coraz śmielej... zerknął na wylewający się z bluzeczki biust, na podwijającą się spódniczkę odstaniającą coraz wyżej pełne uda kobiety. Ona nieustannie śmiała się i żartowała. Nie chciała uwierzyć, że on ma prawie dwadzieścia lat i dopytywała z niedowierzaniem:

- Naprawdę? Naprawdę mój chłopiec skończył dziewiętnaście lat?

Piotrek w pewnym momencie chciał jej nawet pokazać dowód osobisty. Zaczął już nawet sięgać po plecak, ale dał spokój uprzedzając sobie, że teraz zapewne przykryły go skórki lisów i norek.

- To, jak długo byłeś we Wrocławiu? Ładne miasto. Warto pozwiedzać, prawda?...

- Taaak, ładne... - Piotrek odpowiedział lakonicznie, nie podtrzymując tematu. - Chcę dotrzeć do Warszawy, urodziłem się tam. Mam w stolicy wujka, rodzinę, której nie znam a którą chciałbym odwiedzić, poznać.

- Znasz adres? Jak nazywa się twój wujek? - dopytywała kobieta.

- Tak, mam, zapisałem. Mama mi o nich często opowiadała. Przed wojną nasze rodziny bardzo się przyjaźniły. Chciałbym u nich przez parę dni zamieszkać, poszpendać się po Warszawie, zwiedzić... Wujek jest krawcem. Mój ojciec też był krawcem i ja też uczę się krawiectwa... - niespodziewanie, nie wiedzieć czemu, Piotrek zaczął się swobodniej zwierzać kobiecie.

- My mamy pracownię kuśnierską. Znam wielu krawców w Warszawie może i tego twojego wujka - jak się nazywa?

Piotrek odwrócił się do tyłu i z trudem wydobył wciśnięty między siedzenia a zwierzęce skórki plecak. W kieszonce odnalazł ceratowy portfel i wyjął z niego notesik. Kartkował go chwilę, po czym odczytał:

- Skubiszewski Zygmunt. Chmielna 11 b. To już musi być starszy człowiek... Podobno prowadzi zakład w podwórku, w oficynie - tak opowiadała mi mama.

- Samo Śródmieście. Odnajdziesz bez trudu. Prawie podwiozę cię pod drzwi - zaśmiała się swoimi czerwonymi ustami. - Tego krawca jednak chyba nie znam. - W torbie, obok twoich nóg są jabłka, wyjmij - poprosiła, ciągle figlarnie uśmiechając się.

Piotrek sięgnął do dużej, wypchanej po brzegi, czerwonej torby, która mu nawet trochę przeszkadzała w swobodnym ułożeniu nóg. Wyjął z niej szarą papierową torebkę pełną jabłek.

– Mam je obrać? – już sięgał do kieszeni po swój scyzor.

– Nie. To są papierówki. Są już umyte, są młodziutkie, świeżutkie... jak Ty. Niech będą ze skórą – głowę miała znowu niebezpiecznie długo odwróconą w jego stronę, zaglądała mu w oczy. W pewnym momencie Piotrek przeląkł się, widząc, że w ogóle nie zwraca uwagi na szosę.

– Uważaj! – wyrwało mu się, bo z przerażeniem zobaczył przed nimi ciężarówkę z dwiema przyczepami obładowanymi olbrzymimi belami drewna. Bele wystawały spoza przyczepy i niebezpiecznie zbliżyły się do nich.

– Spokojnie, chłopczyku, nie chciałabym stracić życia... Twojego młodziutkiego życia... Ty moja papieróweczko.

Wczesne jabłko jedli ze smakiem. Kazała się karmić. Piotrek przybliżał jabłko raz do jej ust, raz do swoich. To ona chciała, żeby jedli w ten sposób - na spótkę! Obgryzali więc papierówkę na przemian, cały czas śmiejąc się i żartując. Ich czerwony ford kombi po drodze wyprzedzał wszystkie inne auta.

W końcu rozmowa się urwała. Zasnął. Obudził się, a właściwie obudziła go ona, już w centrum Łodzi na przyhotelowym parkingu.

– No, obudziłeś się? Zatrzymamy się w hotelu. Zjemy coś, obmyjemy się trochę. Chodź, jesteś moim gościem.

– Mam wziąć plecak? – zapytał wyrwany ze snu.

Uśmiechnęła się tylko łagodnie, kiwając potakująco głową. Piotr zarzucił plecak na ramię. Już chciał iść za kobietą, ale ona, zmierzyszy go wzrokiem, powiedziała:

– Zostaw, zostaw ten koc, menażkę... – jakoś sobie poradzimy bez tych twoich przyborów, harcerzyku.

Piotrek nie był jeszcze nigdy w tak wytwornych wnętrzach. Nie chodził po takim puszystym czerwonym dywanie. W toalecie, w której się znalazł, z treścią sikał do pachnącego pisuaru. A gdy ujrzał się w lustrze, ogarnęło go przerażenie. Długo doprowadzał się do porządku, myjąc się i czesząc aluminiowym grzebieniem tłuste, niemyte od tygodnia włosy.

Oporządziwszy się trochę, wyszedł ponownie na hol. Nie dostrzegł kobiety. Zaczął rozglądać się niepewnie po bogatym hotelowym lobby. Widział jakichś ludzi siedzących na wygodnych skórzanych fotelach przy ciężkich szklanych stolikach. Inni, z walizkami przy nogach, załatwiali swoje sprawy w recepcji. Miał prawie przyklejony nos do szyby, hotelowego sklepu, gdy kobieta przywołała go do siebie.

– O, tu jesteś, chodź, pójdziemy najpierw coś zjeść. Zostawimy tu u pana nasze manele - podała recepcjoniście za kontuarem swoją czerwoną torbę i poczekała, żeby Piotr zrobił to samo z plecakiem.

Oboje podążyli w kierunku szklanych wahadłowych drzwi z napisem „Restaurants”. Usiedli przy wskazanym przez kierownika sali stoliku. Jedli wyszukane, wybrane przez nią potrawy. On wstydliwie i nieudolnie, bacząc, by nie popełnić gafy, ona pewna siebie i ciągle roześmiana.

– Jeżeli mój harcerzyk zechce, to... – popatrzyła mu zaczepnie w oczy – to wyjedziemy jutro. Wypoczniesz, jest ci to potrzebne. Wiesz, jak chrapałeś w aucie! Zresztą, mnie też się przyda wypoczynek – lekko uderzyła Piotrką w dłoń, nie do końca odczyszczoną po trudach podróży.

– No, decyduj się mój mężczyzno. Idzie kelner. Zamawiać wódeczkę?

– Tak... – wybrzmiało bardzo cicho z opuszczonej głowy.

– Ujmując Piotrką za podbródek delikatnie mu ją uniosła – no, popatrz na mnie – tak?

– Tak – potwierdził z wymuszoną pewnością.

Kelner przyniósł dwa nieduże, ale pełne kieliszki, a potem jeszcze dwa i jeszcze dwa. Wódka była zmrożona. Piotrek tykał ją jak wodę, gdy nagle poczuł, że policzki mu płoną, a w głowie zaczyna wirować. Ciągłe się trwożył, zdając sobie w pełni sprawę ze swojego gówniarskiego wyglądu i z niedwuznacznej sytuacji przy ich stoliku. Kelner jednak ostentacyjnie udawał, że niczego nie zauważa. Jedząc i popijając rozmawiali, rozmawiali... Piotrek dowiedział się, że ma na imię Beata, że rzeczywiście nie ma jeszcze czterdziestu lat, że jest mężatką i, ma córkę niewiele młodszą od niego. Mimo że okropnie krępowała go ta cała sytuacja, w końcu, alkohol robił swoje... Piotrek zaczął odgrywać dojrzałego mężczyznę. Próbował nawet za jej namową mówić do tej dojrzałej kobiety po imieniu...

Gdy wychodzili z restauracji, Beata włożyła mu rękę pod pachę i razem skierowali się w stronę holu. Po drodze odebrali z szatni bagaże.

– Poczekaj, usiądź tam w fotelu... Ja skończę załatwiać w recepcji. Daj mi jakiś dokument. Najlepiej dowód osobisty... Piotrek machinalnie sięgnął do jednej z kieszeni plecaka i wyjął portfel, z którego wygrzebał prawie nowiuteńki dowód. W tej samej chwili zauważył brak książeczki autostopu, która zawsze znajdowała się obok dowodu. Serce zatrzepotało jak

oszałałe... Gdy Beata załatwiała hotelowy meldunek, Piotrek cały czas z niedowierzaniem, obmacywał kieszenie i po wielokroć przeszukiwał portfel. Paniczna myśl kuła - niczym wbijana w ciało krawiecka igła: Zostawiłem książeczkę w zaplamionych krwią spodniach - teraz leżących gdzieś pod katedrą... Ja pierniczę!

– Załatwione! Dowód odbierzemy, jak będziemy opuszczać hotel.

Beata niczego się nie domyślając, wzięła Piotrka pod rękę i, oboje skierowali się w stronę windy. Mimo, że Piotrek zdawał sobie sprawę z zagrożenia pozostawioną tam przy katedrze w zakrwawionych spodniach książeczką i mimo, że bogactwo hotelowego wnętrza cały czas go onieśmiewało – wypity alkohol... Tak, przy tej kobiecie mimo wszystko może czuć się pewnie, bezpiecznie! Beata w windzie uśmiecha się, zaczepia go wzrokiem pełnym zalotnych ogników... - No... Papieróweczko, głowa do góry! - w końcu wysiedli z windy. Szybko odnaleźli właściwy numer i drzwi hotelowego pokoju zatrzęsły się za nimi. Piotrek zdziwionymi oczami prowincjusza rozgląda się po wnętrzu, po wytapetowanych ścianach na których wiszą obrazy. Z zaciekawieniem przygląda się ciężkim, grubym zastaniającym okna storom zwisającym do samej podłogi, jego wzrok przebiega po zastanym łożu, obłożonym wielkimi poduchami... W lustrze, nad biurkiem widzi siebie, siebie innego niż zwykle; twarz mu płonie po czubki uszu, oczy potyskują od alkoholu... Stoi wystraszony, z plecakiem w ręku - tak jakby bał się tu pozostać.

– No, co? Chcesz mi uciec? – śmiejąc się, Beata wrywa mu plecak z rąk i zdecydowanie odrzuca w kąt szafy. - Kto pierwszy idzie pod prysznic? - Szoruj! - otwierając drzwi do łazienki, Beata prawie wepchnęła Piotrka do środka.

Piotr z trwożnym zdziwieniem rozgląda się po łazienkowej mlecznej jasności... Spogląda w ogromne lustro - takie na całą ścianę, w którym widział siebie - chłopaka ze Słupska, chłopaka z jasną, nieostrzyżoną, rozczochraną czupryną, z buraczanymi wypiekami na twarzy... Śnieżnobiała wanna, na półkach złożone miękkie białe ręczniki. Przygotowane do kąpieli szampony, czekające na szerokiej ławie umywalki mydło... Całe to łazienkowe bogactwo, oszałamia go i krępuje. - Jeszcze nigdy nie był w takim hotelu, w takim luksusowym wnętrzu. I, w dodatku z taką... kobietą, damą! Gdy oprzytomniał, zatrzęsł niedomknięte drzwi, zdjął z siebie ubranie i już nagi, ponownie uchylając drzwi trwożnie zapytał:

– Czy mam nalać wody do wanny? Mam kąpać się w wannie - czy pod pryszni...? – urwał, bo zobaczył ją akurat pozbywającą się majtek. Stała tyłem do niego, potem, odwróciła się bezwstydnie... Duże, ciężkie piersi, ze sterczącymi sutkami okolonymi krążkami brązu przypominającymi mu poniemiecki dzwonek u wejściowych drzwi do domu w Słupsku. Te

piersi, absorbujące go już w aucie, gdy prawie wylewały się z rozpiętej bluzki - teraz w swojej całej petni, kotyszac się, zmierzają w jego kierunku...

Piotrek wstydlawie, ale sycił się nagim wizerunkiem kobiety. Sycił się, jej okrągłym brzuchem z wklęsniętym pępkiem, jej masywnymi udami ukrywającymi w kępie bujnej murawy to coś, o czym marzył od dawna w swoich młodzieńczych, niespokojnych nocnych marach... Wstydził się, ale patrzył, spoglądał na kobietę nieumiejącymi ukryć ciekawości oczami. W końcu, chyba ze strachu, odruchowo zamknął z trzaskiem drzwi łazienki i szybko przyłożył do nich ucho.

Cisza. W końcu delikatne pukanie – raz, drugi, trzeci – Chłopczyku... – łagodny głos ledwie dochodził do niego. – Piotrek, otwórz, głuptasie...

Przekręcił gałkę, popchnął drzwi i szybkim ruchem wskoczył nagi do pustej wanny, bezwiednie przybierając pozycję dziecka w łonie matki.

- Ale głuptas... – Beata nachyliła się nad wanną i manipulując gałką zaczęła regulować temperaturę wody. Przesuń się, żeby cię nie oparzyła... Szeroki strumień z szumem wypełniał wannę, zaparowując lustro. Beata z dwóch buteleczek wylała gęsty pomarańczowy płyn... Piotrek cały czas skulony w sobie, ze spuszczoną głową - ale, mimo woli spod czoła ukradkiem zerka na duże, ciężkie piersi wiszące nad wanną.

– Nigdy nie byłeś z kobietą? - Ty naprawdę masz dwadzieścia lat?

– Taaaak... – ciche, w dodatku zagłuszone szumem wody.

– Piotrek, popatrz na mnie... - Beata podnosi ukrytą w kolanach twarz chłopaka. Piotrek unosi wstydlawie głowę, ale ciągle nie potrafi skierować oczu na nagą kobietę. – Pozwolisz? Wejdę do ciebie, porozmawiamy... Piotrek wstydlawie, ale zerka. Widzi, widzi jak Beata, przekładając nogę ponad krawędź wanny, rozwarła nabrzmiałe, pofałdowane wargi, dostrzega w nich języczek, o którego istnieniu nie miał pojęcia... Pierwszy raz, tak z bliska, widzi... - ten zakazany owoc, jego głębię - głębię kobiecości.

O tym wiedział za ledwie tyle, że istnieje, że jest nierozzerwalne ze słowem: kobieta, miłość, seks, ale jeszcze nigdy, nigdy nie oglądał, nie dotykał, nie doświadczył... Widywał rysunki w książkach o anatomii, oglądał nagość na filmach, przeglądał Świerszczyki przynieszone do szkoły przez chłopaków. Pełne tego symbolu kobiety były ubikacje i mury wokół szkół, do których uczęszczał - ale teraz, tutaj... Jest z nim żywa, prawdziwa, dojrzała kobieta...

Wanna była nieduża. Beata zanurzona w pianie, siedzi naprzeciw niego. Jej nogi zaczęły rozchyłać jego ściśnięte uda... Piotrek czuje jak jej stopy dostają się pod niego dotykając, łaskocząc... Czuju, że wzmaga w nim pożądanie...

– No, rozpręż się, chłopczyku... Z owalnej, ładnej twarzy z odsłoniętymi muszelkami uszu - bo włosy Beata miała spięte ku górze, ciągle nie schodzi słodki uśmiech. – Niewygodnie ci? Mała ta wanna... – Beata odnajduje w wodzie jego duże paluch stopy, delikatnie chwyta go i przenosi jego nogę przez swoją, wciskając ten, jego paluch... Tam, jak najgłębiej, w środek... Może Piotrkowi tak się tylko zdaje - ale tam w środku... jest goręcej niż w wodzie... – I, sam nie wie, dlaczego tam, głęboko, porusza rytmicznie tym swoim paluchem... Piersi Beaty, jej nabrzmiałe sutki, chowają się i wynurzają z obłoków piany, jej oczy połyskują ognikami rozkoszy... – Chłopczyku, chłopczyku, papieróweczko... Beata już klęczy, już bierze Piotrka pod pachy i pomaga mu się unieść po to, by za chwilę pieścić go ustami.

- Beata... Beatko! Beato! Aaaa...

Przez trzy dni i trzy noce Piotr poznawał anatomię i psychikę kobiety. Uczył się miłości, namiętności, czułości, doznawał wszystkiego tego, co może dać dojrzała, spragniona seksu kobieta, niespełna dwudziestoletniemu młodzieńcowi. Z pokoju wychodzili w zasadzie tylko na posiłki. Przy okazji, w hotelowym sklepie na dole zaopatrywali się w alkohole i w słodycze. Piotr nosił teraz na sobie wymarzone prawdziwe amerykańskie dżinsy, dżinsową koszulę, nowe adidas, a dwa pola z zagranicznymi metkami, wisały na wieszakach hotelowej szafy. Nikt nigdy w życiu nie rozpieszczał Piotrka aż tak, i to pod żadnym, żadnym względem...

Trzeciego dnia, gdy roześmiani wyszli z windy, już przygotowani do opuszczenia hotelu - on odjazdowo ubrany, z wypchanym ciuchami plecakiem i reklamówką prowiantu prosto z Peweksu - ona ze swoją czerwoną podróżną torbą... Od strony recepcji, jakby na komendę, podeszli do nich dwaj mężczyźni wyglądający byle jak, dziwnie, w ogóle niepasujący do tego hotelowego ekskluzywnego wnętrza.

– Milicja! – krzyknął jeden z nich. - Jesteście aresztowani! Nim Piotrek się spostrzegł - już miał wykręcone do tyłu ręce, a jego nadgarstki spinały kajdanki. - Pani też! Pójdiesz z nami!

– Dlaczego?! Coś Ty zrobił? Chłopczyku? - ostatnie, jakie usłyszał Piotrek, trwożne pytania Beaty zostały w nim na całe życie.

W celi wrocławskiego aresztu, w którym przebywał już trzeci miesiąc, codziennie zasypywał błaganiami Mateczkę Przenajświętszą i samego Pana Boga o litość nad sobą. Modląc się powtarzał pytania Beaty:

– Co ja zrobiłem?! Mateczko Przenajświętsza, co ja zrobiłem?

W końcu, na odbywających się przesłuchaniach we wrocławskim areszcie, Piotr dowiedział się, że robotnicy pracujący przy remoncie, natknęli się u stóp katedry na zakrwawiony tobołek, a w kieszeni zakrwawionych spodni, znaleźli książeczkę autostopowicza ze zdjęciem, imieniem i nazwiskiem... Tego samego też dnia, odkryli ciało zamordowanego mężczyzny. Prokurator i milicja, aby dotrzeć do potencjalnego mordercy - po rozpowszechnieniu w gazetach i w radio listu gończego podającego nazwisko, wiek i wizerunek Piotrka - potrzebowali niecałych trzech dni... - Służba hotelowa nie miała żadnych wątpliwości, że poszukiwany mieszka tu, w tym hotelu...

W sądzie, na odbywających się rozprawach, siedząc w ławie oskarżonych, skulony w sobie, wciśnięty między dwóch milicjantów, wystraszony do cna, nie mogący ukryć też Piotrek, cały czas skrycie, ale z odrobiną nadziei rozglądał się wokół... Rozglądał się za kobietą, za Beatą... Za jej twarzą, za jej przyjaznymi oczami, w końcu, za jej biustem, w który tak ciepło go wtulała, wtapiała – w hotelowym łóżku, gdy zrywał się w nocy z spazmatycznym płaczem, z głośnym krzykiem - próbując uciekać, oderwać od siebie te... rybne oczy tamtego.

Nigdy jednak już więcej nie spotkał Beaty, ale też i nigdy o niej, o Beacie z czerwonego amerykańskiego forda-kombi nie zapomniał. Zresztą, to dzięki niej przydzielono mu z urzędu adwokata - po pewnym czasie zastąpił inny - przysłany przez nią. To adwokat od niej, poprowadził sprawę z nową energią i walczył o niego przed wrocławskim sądem, aż do skutku, aż został uniewinniony. Któregoś dnia, nim tak się stało, adwokat przyniósł mu do celi list nadany w Hamburgu:

Piotrusiu, chłopczyku, moja Papieróweczko!

Wiem, wiem co zrobiłeś. Rozpisują się o tym nawet niemieckie gazety. Wiem też, że uczyniłeś to pod wpływem emocji i we własnej obronie, w obronie własnej czci. Ufam, że sąd Cię uniewinni, że pozbędziesz się koszmarów, które Cię tak strasznie prześladowały i zapewne prześladują dalej. Załatwiłam Ci dobrego adwokata. Wygramy!

Założyłam też konto w banku, z którego będziesz mógł korzystać. Mecenas powie Ci, w jaki sposób. Ja również miałam wtedy kłopoty z milicją i prokuraturą (lisy, norki i ta Twoja sprawa...). Zniszczyło to naszą firmę i moje małżeństwo, ale to już mniej ważne.

Zostań z Bogiem.

Beata.